

Wieczorny spacer

Dwóch chłopaków spotkało się na starym cmentarzu.

Ostatnich ludzi pochowano tu chyba ze trzy wieki wcześniej, a od jakichś stu lat teren służył wyłącznie jako rozległy park, gdzie wysokie, szare graby chroniły spacerujących przed spojrzzeniami postronnych – gdyby ktoś miał coś do ukrycia. A ponieważ był to dopiero początek terroru, przynajmniej w tych stronach, ponieważ to oni – młodzież – nieśli czarny kaganek i nie zdążyli jeszcze dobrze wypracować metod ani uzyskać bezwzględnego poparcia – to, owszem, mieli coś do ukrycia. Postanowili zatem spotkać się po zmroku na starym cmentarzu i działać po cichu.

Do Lindenstraße mieli może dziesięć minut spacerem – gdyby szli głównymi ulicami. Ale jak na złość pogoda była piękna, wieczór długi i ciepły. Letnie zielsko pachniało odurzająco, zmrok nie chciał zapaść, jakby ktoś pobrudził niebo w rogu złotą farbą. Ludzie pod byle pretekstem wychodzili z domów, błakali się po ulicach i ogrodach, by zażywać dobrego, długiego dnia. Dlatego przejście dziesięciominutowej drogi zajęło im niemal pół godziny. Musieli przemyskać

opłotkami. Długo obserwować ulice zza węgła, nim zdecydowali się zrobić kolejny krok. Musieli zaglądać do okien mijanych domów, by upewnić się, że miasteczko niczego nie podejrzewa.

Pomimo tych środków ostrożności nagle usłyszeli zza pleców głos:

– Hola, chłopcy! Czy to nie za późno na spacer?

Właśnie minęli kalwińską kaplicę, od celu dzieliło ich jakieś pięćset metrów. Odwrócili się i zobaczyli Tumma, moczymordę, człowieka złego charakteru.

– Ano, ładny wieczór, tośmy wyszli pooglądać sobie świat – odpowiedział jeden z chłopaków, patrząc w ziemię. – To teraz zabronione?

– Panowie, bez nerwów. Toć ja wam życzliwy – niespodziewanie zapewnił ich pijak.

Kilkanaście lat wcześniej była w miasteczku taka sprawa: Tumm, wówczas praktykant w sklepie żelaznym, kontra pewna dama, jego kochanka, którą reprezentował adwokat Nitz. Zarzuty dotyczyły znęcania się i nadużywania alkoholu. Skończyło się na ugodzie między sędzią a Nitzem, w myśl której Tumm po dziesięciu dniach odsiadki w areszcie powiatowym został zwolniony z obowiązkiem zapłaty niezbyt wysokiej grzywny. Oczywiście te wydarzenia przerwały jego karierę w handlu, ale ogólnie panowała opinia, że sąd potraktował go nadzwyczaj łagodnie, a to dzięki osobistemu wstawiennictwu adwokata. Ku powszechnemu zdziwieniu Tumm odebrał ten złagodzony werdykt jako atak na jego honor (z którym wcześniej bynajmniej się nie obnosił). Jak stwierdził, uczyniono go przedmiotem powszechnej pogardy, a jedynym celem tego „wspaniałomyślnego aktu miłosierdzia” (słowa sędziego) było zatkanie

mu gęby i odebranie możliwości przedstawienia własnej wersji zdarzeń. W ten sposób na zawsze zbrukano jego imię – uważał. Oto chrześcijańska obłuda w całej okazałości! Oto adwokacki kabotynizm! – żalił się w karczmach, gdzie odtąd z jeszcze większym zapalem pracował nad tym, by jego imię nadawało się wyłącznie do straszenia dzieci. Z początku te tyrady, skomponowane z plugawych wyzwisk wymieszanych z książkowymi zwrotami (starsi mieszkańcy pamiętali czas, kiedy Tumm kształcił się, a nawet dobrze rokował), wzbudzały wesołość. Później uczucia słuchaczy zmieniały się w niezręczne współczucie, aż wreszcie narzekania moczymordy przykrzyły się nawet najbardziej zdegenerowanym mętom...

– Dalej droga czysta – zachęcił chłopaków pijak i mrugnął porozumiewawczo, wykrzywiając twarz.

Po chwili chłopcy znów zostali sami. Rozeźleni udali się wprost na Lindenstraße główną drogą. W rzeczy samej na nikogo już po drodze nie trafili. Dopiero przy skrzyżowaniu spotkali się z Martinem. Wóz z koniem, zgodnie z planem, czekał na zapuszczonej działce, dwa domy od willi. Martin twierdził, że nie zwrócił niczyjej uwagi. Martin umiał powozić jak nikt.